



List do redakcji

Szanowny Panie Profesorze,

Uważam, że artykuł prof. Iwo Białynickiego-Biruli („Żle się dzieje w państwie NCN” w ostatniej PAUzie (nr 446) jest nie fair. Po pierwsze, nie ma w nim żadnych nowych rzeczy związanych z NCN w stosunku do tego, co prof. Białynicki-Birula pisał w zeszłym roku, więc zupełnie nie rozumiem tytułu. Po drugie, definicja „doświadczzonego naukowca” jest z ustawy o NCN i to nie jest

nasz wymysł. To, co zmodyfikowaliśmy po zeszłorocznym artykule, to interpretacja tego przepisu, tak by nie wymagać już, by granty w definicji „doświadczzonego naukowca” były zakończone (i to jest jedyna rzecz, w której mieliśmy jakąkolwiek swobodę manewru). Po trzecie wreszcie, uważam, że prof. Białynicki-Birula uprawia zwykłą prywatę, i dziwię się, że Redakcja PAUzy daje się do tego wykorzystywać.

Z wyrazami szacunku

ZBIGNIEW BŁOCKI

Komentarz

Mam nadzieję, że przygody Profesora Białynickiego-Biruli, opisane przez niego w niedawnym numerze „PAUzy” (nr 446), skłonią jednak kierownictwo Narodowego Centrum Nauki do ponownego przemyślenia i – być może – modyfikacji stosowanych procedur. Ostatni „okrągły stół”, poświęcony zredukowaniu zbędnej biurokracji (pisał o nim ABBA w „PAUzie” nr 409), wskazuje bowiem, że NCN zazwyczaj chce i chętnie słucha opinii swoich „klientów”.

Myślę, że ta historia ilustruje szerszy problem, który nie dotyczy jedynie NCN i wykracza poza zwykłą poprawność konkretnych procedur stosowanych przy ocenie projektów naukowych.

Po pierwsze, mamy tu do czynienia z trudną do uniknięcia sprzecznością pomiędzy naturalnym konserwatyzmem nauki (i uczonych) a koniecznością rozważania i wprowadzania nowych koncepcji i pomysłów. Z jednej strony konserwatyzm, a więc pewnego rodzaju nieufność do nowych idei, jest wielką wartością nauki. Dzięki temu uzyskane wyniki są krytycznie sprawdzane i w rezultacie ostają się tylko rezultaty solidne, a ewentualne błędy są skutecznie usuwane i poprawiane. Z drugiej strony, konieczne jest dopuszczenie pewnego ryzyka błędu związanego z poszukiwaniami lepszego opisu i zrozumienia rzeczywistości oraz odkrywania nowych zjawisk. Zatem ocena projektu musi balansować między tymi dwoma skrajnościami, co oczywiście nie jest łatwe.

To samo dotyczy zresztą recenzji w czasopiśmie. Powszechnie wiadomo, że opublikowanie pracy zawierającej naprawdę nową ideę jest zazwyczaj znacznie trudniejsze niż opublikowanie pracy „poprawnej”, która tylko rozszerza, potwierdza lub ilustruje znane zjawiska albo teorie. Nic w tym dziwnego. Autentycznie oryginalna idea jest bowiem zazwyczaj z trudem akceptowana przez recenzentów, którzy czasem jej po prostu nie rozumieją, zwłaszcza że i autor najczęściej ma trudności z jasnym przedstawieniem myśli, którą widzi dopiero w zarysie. Rzadko bowiem nowa koncepcja jest już w momencie narodzin w pełni opracowana i kompletna.

W przypadku agencji przyznających granty mamy dodatkowo syndrom „detektywa” lub „policjanta”. Zespoły oceniające spotykają się wszak nierzadko z przypadkami hochsztaplerów, a nawet próbami nadużyć, co kreuje dodatkową ostrożność i nieufność. Zwłaszcza że niewłaściwe przyznanie grantu wiąże się z utratą środków na badania, których nigdy za dużo.

Jest to problem, który dotyka wszystkich agencji na całym świecie i stąd konieczność uważnego i ciągłego monitorowania procedur oraz

poddawania ich krytyce ze strony społeczności naukowej. Należy bowiem stale pamiętać, że w relacjach agencji z uczonymi występuje fundamentalny brak równowagi: w przypadku sporu mamy po jednej stronie potężną instytucję, a po drugiej pojedynczego człowieka. Ktoś kalibru Profesora Białynickiego prawdopodobnie sobie w końcu poradzi, ale trzeba też pomyśleć o sytuacji „zwykłych” adeptów nauki. Mam więc nadzieję, że NCN potraktuje ten sygnał poważnie.

Sprawa nie ogranicza się jednak tylko do grantów, ocen projektów i wyników naukowych.

Mamy tutaj również świetną ilustrację innego zjawiska, mianowicie braku szacunku, a nawet wręcz zaufania do autorytetów. To zjawisko ogólnosięwiatowe, dotyczące nie tylko nauki, które jednak w Polsce przyjęło ostatnio formy niemal ekstremalne. Oczywiście postęp w badaniach uzyskiwano, często właśnie kwestionując powszechne przekonania i ustalone autorytety. Jasne więc, że w nauce żaden autorytet nie może być przyjmowany bezkrytycznie. Ale jednak nie powinien być również całkowicie lekceważony. Bo, jak tłumaczył mi kiedyś mój promotor: „nawet jeżeli napisana przez Heisenberga praca wyda mi się błędna, to ja jednak przeczytam ją i zastanowię się nad nią drugi raz”. Tymczasem w omawianym przypadku najwidoczniej ani recenzent, ani zespół oceniający nie spojrzeli na projekt „drugi raz”. Chociaż, moim zdaniem, powinni. A już napisanie, że Profesor Białynicki nie jest „doświadczonym naukowcem”, naprawdę graniczy z impertynencją. To najwidoczniej literalne zastosowanie definicji zawartej w ustawie. Można jednak zadać uzasadnione pytanie, dlaczego tak horrendalna bzdura w ogóle znalazła się w ustawie i dlaczego nie można jej po prostu zignorować.

Profesor Białynicki proponuje wprowadzenie możliwości polemiki z recenzentami. To zapewne rzeczywiście może trochę poprawić sytuację. Pozostaje jednak ciągle brak równowagi pomiędzy „petentem” a instytucją. Nie da się go zapewne całkiem wyeliminować, ale można złagodzić, tworząc inne agencje przyznające granty, a więc demontując monopol NCN (pisałem już o tym w „PAUzie” nr 212). Wydaje mi się, że konkurencja pomiędzy różnymi agencjami spowoduje (wymusi?) ich sprawniejsze działanie, a poza tym da uczonym możliwość wyboru. Krytykom, wskazującym, że realizacja tego postulatów spowoduje zwiększenie administracji i kosztów obsługi, odpowiem, że może warto je ponieść, aby usprawnić system, a zwłaszcza aby ułatwić finansowanie nowych oryginalnych idei.

ANDRZEJ BIAŁAS



Rzut na taśmę – czy zawsze fair play?

Rzut na taśmę to w biegu ostatnia szansa, by wygrać. Coś podobnego dzieje się w zdobywaniu stopni i tytułu. W tym przypadku „zawodnik”, finiszując, dokonuje owego rzutu, z wykorzystaniem obowiązujących jeszcze (kilka miesięcy) przepisów ustawy kończącej żywot, a regulującej sposób uzyskiwania stopni. Sam nieomal znalazłem się w takiej sytuacji, kiedy „nowa” ustawa o tytule i stopniach naukowych z 1990 r. nałożyła na adiunkta obowiązek robienia habilitacji w czasie określonym przez senat uczelni. Na szczęście moja wydłużyła go do lat 40 (!), ale nim to się stało, popularne było powiedzenie: „Poczekaj na koniec wymaganego okresu, napisz poszerzoną pracę magisterską i upchać ją w tłumie takich samych złożonych do CK. Jest szansa, że (zapewniwszy sobie przychylną radę wydziału – o co łatwiej) przejdzie w natłoku spraw w CK”. Powtórzę, na szczęście moja uczelnia wydłużyła okres, w którym trzeba było zrobić habilitację, i to (wtedy wyśmiewane) obroniło ją przed zalewem marnych habilitacji. Znaczna część adiunktów spokojnie dożyła emerytury, wypełniając świetnie zadania, jakie z piastowania tego stanowiska wynikały.

Niestety, nie obroniła przed tym faktem zapowiedź zmiany ustawy w 2013 r. i likwidacja kolokwium habilitacyjnego. Wielu habilitantów, nie wiedząc jeszcze, jak „ułatwi” ona zdobycie upragnionego stopnia i będąc pewnym przychylności własnej rady wydziału (która powoływała recenzentów), właśnie „rzutem na taśmę” pisało w pośpiechu pracę habilitacyjną i wszczynano przewód. W zdecydowanej liczbie przypadków przewody kończyły się sukcesem. Nawet takie, kiedy negatywna recenzja (a ta bywała rzadkością) obnażała wartość pracy. A były i po-

zytywnie zatwierdzone przez radę ewidentne plagiaty, o czym pisano w „Sprawach Nauki”. Stąd chyba nie wszystkie decyzje rad wydziału z tamtego okresu przełomu zaowocowały pojawieniem się pełnowartościowego „samodzielnego” pracownika.

Kolejny „rzut na taśmę” obserwuję teraz. Kiedy do zainteresowanych dotarło, że obowiązująca jeszcze ustawa umożliwia uzyskanie habilitacji bez obowiązku zaprezentowania się przez habilitanta nadającej go radzie oraz przy wystarczającej zwykłej większości głosów „za”, w komisji wnioskującej o to, habilitacje się sypnęły. Są wprawdzie ograniczenia, bo trzeba wykazać się dorobkiem stanowiącym cykl artykułów, na który część recenzentów zwraca uwagę również od strony ilościowej, ale i na to jest rada. Pisz na chybcika (samemu czy z mentorem) jedną pracę, którą nazywa się monografią, i wszystko w rękach recenzentów, a ci „zdarzają się” – życzliwi. (Po raz drugi przywołam artykuły ze „Spraw Nauki”). Byłe zdążyć przed czasem, kiedy, jak przewiduje *Konstytucja dla nauki*, decyzja o nadaniu stopnia i tytułu będzie w rękach senatu czy rady dyscypliny naukowej (o jakim to rozwiązaniu myślał niektórzy rektorzy), a tam już, być może, nie będzie (w przewadze) samych swoich. Rozglądam się dookoła i widzę takie „rzuty na taśmę” wszczynane przewody doktorskie i habilitacyjne¹. I jedno, co mi przychodzi do głowy, to cytata ze wspomnień wybitnego polskiego górnika, profesora Andrzeja Lisowskiego:

„Jedną z głównych, jeśli nie główną przyczyną słabości obserwowanych w świecie nauki, jest zbyt niski poziom wielu doktoratów. Za słabymi doktoratami idą słabe habilitacje, a za nimi profesorowie, którzy produkują doktorów jeszcze słabszych od siebie”².

Czy trzeba dodać: koło się zamyka!?

MACIEJ MAZURKIEWICZ
emerytowany prof. zw. AGH

¹ Oczywiście mógłbym podać przykłady, w tym z mojej byłej rady, ale nie chodzi o donos, a o pokazanie problemu, z którym, śmiem twierdzić, CK sobie nie radzi.

² A. Lisowski, *W górnictwie – czas sukcesów i klęsk. Wspomnienia osobiste z epoki wielkich przemian*, t. II, Katowice 2011.

A może rozumokracja?

Inspiracją do niniejszego wystąpienia i komentarza są ostatnie dwa zdania artykułu prof. Andrzeja Białasa pt. *Skrucha i polemika* z PAUzy Akademickiej nr 444 (4 listopada 2018). Brzmiały one: „Ale przecież nawoływanie do tego, aby wybierać i promować ludzi MĄDRYCH trudno przypisać do programu jednej ze spierających się stron. Mam nadzieję, że przynajmniej w tej sprawie wszystkie opcje polityczne mówią jednym głosem”.

Te słowa zasługują na wydobyć na plan pierwszy i wielokrotne przypomnienie. Uważam, iż mają one, czy powinny one mieć, charakter poniekąd ustrojowy. Uzasadniłbym to następująco. Kluczowym terminem dzisiejszego dyskursu politycznego jest słowo „demokracja”. Nikt go nie kwestionuje, wszyscy chcą być demokratami, a przeciwnikom wytykają, że nie są demokratyczni. Jednak samo słowo ma niezbyt zachęcającą etymologię: demokracja to literalnie „władza ludu”! Czy ktoś z nas chciałby władzy ludu? Trzeba też przypomnieć, iż Arystoteles w swojej klasyfikacji ustrojów uznawał demokrację za zdegenerowaną formę republiki, podobnie jak tyranie – za zdegenerowaną formę monarchii. W późniejszych czasach przyjęto jednak „demokrację” z pozytywnym wydźwiękiem znaczeniowym. Wypada się tego trzymać, potrzebny jest wszakże komentarz i głębsza analiza znaczeniowa.

Rozróżnijmy demokrację „ilościową” oraz demokrację „jakościową”. W tej pierwszej głośno się tylko liczy, w tej drugiej również waży. Żeby to jednak realnie robić, potrzebni są kompetentni ludzie. Tych ludzi trzeba nie tylko wybrać, ale w pierwszej kolejności trzeba ich wyszukać w społeczeństwie. Ogólniej mówiąc, w społeczeństwie powinien permanentnie i tradycyjnie działać SELEKTOR ludzi mądrych, rozumnych. Od strony filozoficznej źródłem wskazań może być Immanuel Kant: filozofia rozumu teoretycznego i praktycznego. Oczywiście nie miejsce tutaj na rozległe filozofowanie. Przede wszystkim trzeba szukać konkretnych przesłanek do budowania wspomnianego selektora ludzi rozumnych w dzisiejszym społeczeństwie polskim, żeby następnie powierzać im odpowiednie funkcje publiczne. Główna trudność polega na tym, że ludzie, o których mowa, to nie są tacy, co pchają się na ważne stanowiska, a ci, co się pchają, to nie są ci mądrzy i rozumni. Trudny problem do rozwiązania, ale próbować trzeba. Niech zdania z artykułu A. Białasa, także niniejsze dopełnienie, nie będą tylko aktem werbalnym.

Na koniec, w nawiązaniu do tytułu, może budujmy nie tyle ogólnikową demokrację, ile właśnie ROZUMOKRACJĘ (demokrację jako rozumokrację).

EUGENIUSZ SZUMAKOWICZ
Instytut Ekonomii, Socjologii i Filozofii
Politechniki Krakowskiej

Pilna potrzeba nauki historii

Badacze dziejów nieustannie analizują dokumenty, świadectwa zdarzeń z bliższej i dalszej przeszłości, zawartość archiwów i bibliotek, by wzbogacać wiedzę o minionych losach państw i narodów, także by na jej podstawie korygować wcześniejsze oceny, czasem radykalnie je zmieniać.

Kiedy studiowałam w latach pięćdziesiątych, co prawda polonistykę, nie historię (wówczas historyzm był podstawowym kryterium badania literatury i w ogóle sztuki), we wrocławskim ośrodku uniwersyteckim oraz w oddziale IBL PAN epoką wszechstronnie badaną było Oświecenie. Z tego czasu pochodzi cenny dorobek edytorski – wydania czołowych pisarzy drugiej połowy XVIII wieku, odkrytych pomniejszych twórców, antologie wierszy ulotnych, pamiętników. Wtedy też powstały monografie i kompendia interpretujące dorobek literacki epoki w kontekście wydarzeń w Polsce i Europie.

Oświecenie było dla marksistów wdzięczną epoką z uwagi na „postępowe tradycje” intelektualnego racjonalizmu, jakobińskich idei społecznych, obecnych w Polsce w wersji złagodzonej, co znajdowało odbicie w literaturze. Wizerunek króla w opracowaniach z tamtego czasu był, w uproszczeniu, postacią światłego mecenasa sztuk i nauk, słabego, zależnego od Rosji władcy, biernego polityka.

Tu przypomina mi się bardzo długa kolejka w sali Zamku Królewskiego, gdy wystawiono tam urnę z prochami Stanisława Augusta przed umieszczeniem jej w katedrze warszawskiej. To było ponad dwieście lat po śmierci monarchy w Petersburgu. Zastanawiałam się, obserwując twarze ludzi wolno sunących w tym pochodzie – wielu miało małe wiązanki kwiatów – co wiedzą o ostatnim królu, za co są mu wdzięczni, skoro przyszli do Zamku, który późne wnuki podniosły z ruin i urządziły (wtedy urządzanie nie było jeszcze zakochane) wedle zachowanego w dokumentach królewskiego programu. A był to program podporządkowany idei prezentowania Polski jako państwa mającego w swojej historii czasy politycznego znaczenia i kulturowego przodownictwa. Przychodziło mi do głowy, jak ważną obywatelską powinnością jest znajomość historii.

Późniejsze badania, bardziej kameralne, wolne od państwowego zamówienia na świadectwa radykalizmu społecznego w pierwszej szlacheckiej Rzeczypospolitej, w tym kwerendy zmarłego przedwcześnie Łukasza Kądzioły w rosyjskich archiwach, gdy te udostępniono uczonym, przydały wizerunkowi króla nowych istotnych rysów. Oddziałuje to, oczywiście, na stosunek potomnych do całego, zawartego ostatecznie w Konstytucji 3 maja, projektu reformy ustrojowej Rzeczypospolitej, który z wyroku historii nie został zrealizowany, zawiera jednakże elementy poruszające nas dzisiaj, czego w rozwoju państwa trzeba pilnować, i przestrzegające, przed czym się powstrzymywać.

Stanisław August w świetle nowych źródeł jawi się – przy zachowaniu należytej ostrożności sądów – jako czynnie zaangażowany w bieżącą politykę po stronie reform wymierzonych w konserwatyzm mas szlacheckich. Zdawał sobie sprawę, że w modernizującej się Europie Rzeczypospolita w dotychczasowym kształcie ustrojowym nie ma szans na powrót do politycznej podmiotowości. Król, żywo zainteresowany sprawami zagranicznymi, zreformował służby informacyjne, by przyspieszyć i usprawnić ich pracę.

Czynny był także w polityce wewnętrznej, inspirując i patronując wielu przedsięwzięciom, które przygotowały grunt pod dzieło Sejmu Czteroletniego. W latach 1766–1788, będących okresem względnie pokojowej współpracy z Rosją, zatem i względnej stabilizacji, nastąpił rozwój szkolnictwa, ale także gospodarki i handlu, reorganizacja armii – przy silnym oddziaływaniu gazet, czasopism, teatru – nastawionych na kształtowanie nowych wzorów zachowań i postaw. Zwiedzający dziś Zamek Królewski odczytują z jego urządzenia (wedle zachowanych dokumentów) Stanisławowski program edukacji patriotycznej, w którym ważną rolę odgrywała historia z jej momentami wzniosłymi, budującymi i utwierdzającymi w poczuciu narodowej godności. Nie przychodzi do głowy nazywanie tego propagandą, dlatego że wiszące w Sali Rycerskiej wielkie obrazy Bacciarellego, przedstawiające hołd pruski, nadanie przywilejów Akademii Krakowskiej przez Władysława Jagiełłę, alegorię unii Polski i Litwy, inne doniosłe momenty z naszych dziejów, są dziełami sztuki, zamówionymi przez króla – arbitra, a sztuka bywa wezwana do służby wielkim autentycznym ideom, nie zaś doraźnym interesom (te relacje zasługują na osobną uwagę).

Historia rozwija się poprzez odnajdywanie nowych świadectw przeszłości, przy jednoczesnym doskonaleniu metod ich interpretacji. Interpretacja dziejów, zwłaszcza może własnego narodu, nigdy chyba nie bywa całkowicie wolna od wpływu przekonań, upodobań, obaw i nadziei autorów prac historycznych, ale granice tego wpływu historycy znają i przestrzegają ich, nie parając się polityką historyczną. Jeśli polityka historyczna konkuruje z historyczną wiedzą, powstaje niebezpieczne bałamuctwo o działaniu mogącym trwać nawet pokolenia.

Historia rozwija się poprzez dodawanie nowych, naukowo potwierdzonych faktów do zasobu już znanych (może to, oczywiście, powodować zmiany interpretacji). Usuwanie faktów albo postaci z tego zasobu, podporządkowane doraźnym potrzebom interpretacyjnym, zubaża wiedzę historyczną, wulgaryzuje obraz przeszłości, wypacza pamięć o niej. Gorsze jest zastępowanie jednych bohaterów innymi w imię „prawdziwszego” porządku na Panteonie.

Powyższe stwierdzenia są truizdami i zapewne nikt nie chciałby z nimi dyskutować, ale niejeden z (deklarowanym albo szczerym) ubolewaniem godzi się na podobne działania, pozostając z pociechą: wiem swoje. Jest to pociecha złudna. Polityka historyczna owocuje nie od razu, nie gwałtownymi przeobrażeniami zbiorowej świadomości. Pokolenie uczone dzisiaj historii ojczyście wejdzie w dorosłe życie wtedy, gdy niewielu tych, co teraz „wiedzą swoje”, będzie jeszcze aktywnych w życiu społecznym. Pomniki przez nas stawiane pokryją się patyną dodającą powagi i nie jest pewne, czy potomni będą dobrze znać pojęcie: pomnikowe zasługi.

*

Trzeba odróżniać historię od polityki historycznej. Tej umiejętności nabywamy przez rzetelne poznawanie historii – możliwe bez aktualnych emocji, a z czujnością wobec lektur i narracji dotyczących przeszłości. To, jak myślę, pilne zadanie.

MAGDALENA BAJER

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Stanisław Rodziński, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jerzy Wyrozumski, Jakub Zakrzewski, Franciszek Ziejka.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Andrzej M. Kobos, Marian Nowy – redaktorzy; Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Ryszard Otręba – „Galeria PAUzy”; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny; Witold Brzostkowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31–016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Galeria PAUzy



Ewa Zawadzka ukończyła studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie na Wydziale Grafiki w Katowicach. Wiele lat zajmowała się grafiką i rysunkiem. Zdobyła mocną pozycję w tych dziedzinach sztuki biorąc udział w znaczących wystawach grafiki na świecie, otrzymując wiele nagród. Była członkiem rady programowej Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie, kuratorem Triennale Grafiki Polskiej oraz polskim kuratorem na biennale grafiki w Lublanie i Miscołcu. Pisała o grafice oraz brała udział w licznych konferencjach i międzynarodowych spotkaniach graficznych: (Kanada, Węgry, Słowenia i Francja). Jej prace znajdują się we wszystkich znaczących kolekcjach sztuki na świecie. Od 2002 roku całą jej twórczość pochłonęło malarstwo pozwalające stosować większy format, budować struktury podkreślające siłę oddziaływania wizualnego i monumentalność formy. Od początku związana z fotografią, która była inspiracją jej twórczości. Od 2012 roku fotografia stała się ważną, samodzielną formą wypowiedzi artystycznej. Jest członkiem Rady Programowej Ars Cameralis, Katowice; Rady Programowej Sosnowieckiego Centrum Sztuki – Zamek Sielecki, Sosnowiec; Związku Polskich Artystów Plastyków, Kraków; Stowarzyszenia Międzynarodowego Triennale Grafiki w Krakowie oraz Związku Polskich Artystów Fotografików, Katowice.



Materia ciszy, 2013 (olej na płótnie) 110x100 cm